№ 11. Piątek, dnia 11 Grudnia 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

DRZEW: WARSZAWSKA.

WARSZAWA dnia 29 listopada (11 grudnia) 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

GŁOS KOBIETY

w odpowiedzi na artykuł:

„Miłość wobec wymagań czasu," [1])

Spotkawszy pozostawioną przez zapomnienie na biórku notatkę, z zapomnienia tego korzystać i nietylko wyrażone tam myśli odczytać, ale przepisać je, a potem bez pozwolenia autora publikować, jest wykroczeniem przeciwko pierwszym zasadom towarzyskiej delikatności a może nawet, na czem się już nie znam, przeciwko prawom własności literackiej. Mniejsza tym razem o drugie, o pierwsze bardziej tu chodzi, rzecz bowiem, którą bez wiedzy autorki pozwolono sobie drukować, bynajmniej do druku przeznaczoną nie była, ani też stanowiła dzieło literackie. Przewinienie więc o którem mówię, jest niem tylko w obliczu towarzyskiej przyzwoitości i jako takie je podnoszę oddając pod sąd czytelników „*Ogniska*," którzy zarazem w poprzednim pisma tego numerze, zaskarżonego czynu byli świadkami.

Jeden z współpracowników *Ogniska Domowego* pozwolił sobie, wierszyki przez młodą osobę, dla własnej li zabawki napisane i nieostrożnie na biórku pozostawione, przepisać i wydrukować w niniejszem piśmie z dodatkiem kilku szpalt nudnych morałów.

Ofiarą tego postępku byłam ja, pisząca niniejszy ustęp w obronie przyzwoitości towarzyskiej, następnie pogwałconej własności, jeśli nie literackiej, to przynajmniej własności cudzych myśli, które przecież bezkarnie podsłuchiwane, a co gorsza ogłaszane drukiem być nie mogą. Że zaś autor artykułu „Miłość wobec wymagań czasu" pomieszczonego w 10 numerze *Ogniska Domowego*, w którym to właśnie czynu owego się dopuścił, zachował przytem najściślejsze incognito, pod pracą swoją nie stawiając ani jednej litery nazwiska, nie widzę nawzajem powodu odsłania osobistości mojej, tak niepotrzebnie w szpaltach dziennikarskich zaczepionej, a jeśli do pióra się biorę, odwagi mi dodaje jedynie oburzenie na postępek współpracownika Redakcyi, a co gorsza na jego traktat o kobietach pod wierszami mojemi wypisany tonem mentorskim.

Nie chodzi tu zresztą, jak sądzę, o nasze osobistości, ale raczej o zasady, które nas do tej walki na pióra wywołały.

Mniemam, że w chwili kiedy piszę te słowa, postępek współpracownika *Ogniska* względem mnie stanowczo jest przez czytelników, a bardziej jeszcze przez czytelniczki osądzony; nie chcąc więc tryumfować nad pokonanym przeciwnikiem, odpowiem tylko na wypowiedziane przez niego w pracy owej zdania, przedewszystkiem o ile te nas kobiet dotyczą. Jest to tym więcej moim obowiązkiem, że zdań wypowiedzianych w wierszyku nie wstydzę się bynajmniej; sam przecie ich krytyk w znacznej części się zgadza, a jakkolwiek w pierwszej chwili, jak powiada, *porwał go śmiech pusty z serduszka głodnego sentymentu*, po zastanowieniu się przyznał, że uczucie prawdziwej miłości, w rzeczy samej, rzadkiem jest dziś na świecie.

Dobrze to, gdy komu zdrowe myśli przychodzą chociaż po zastanowieniu. Autor przyznaje dalej, że rzadkość tego szlachetnego uczucia w dzisiejszych społeczeństwach nie jest bynajmniej objawem pocieszającym.

Przyznanie mi w tem słuszności, mnie daje otuchę a autorowi przynosi chlubę, świadcząc o jego niezepsutem sercu. Bądź co bądź autor artykułu jest człowiekiem myślącym i oddawna zapewne *drukującym się*—kiedy ja pierwszy raz ujrzeć mam (i to z jego łaski, inaczej bowiem kto wie czyby Redakcya pisaninę moję za godną druku uznała)—ja mówię pierwszy raz zobaczę myśli moje ułożone czcionkami.

Tak jest, uczucie miłości rzadkiem jest niestety w społeczeństwach dzisiejszych, ale przyczyny tego nie tam szukać należy, gdzie ją upatruje autor w mowie będącego artykułu jakkolwiek zgadza się on ze mną, że dzisiejszy gorączkowy niemal u mężczyzn popęd do badań naukowych przeważnie na to się składa. Podług niego powstająca tym sposobem nierówność skali umysłowej obu połów rodzaju ludzkiego czyni kobiety w stosunku do mężczyzn istotami wielce ograniczonemi a więc niegodnemi kochania.

Zdaje mi się, że w tym punkcie autor artykułu w błąd wielki popada. Nie nauka-to przeszkadza mężczyźnie pokochać szczerze, ale raczej jej kierunek. Nauka bowiem, dzisiejsza powiada nam, że rozebrała już całą istotę człowieka i prócz materyi nie znalazła w niej nic więcej. Nie mamy więc duszy, a stąd i wszelkie aspiracye duchowe obce nam być muszą. Miłość dotąd określano jako wzajemne ciążenie dwóch dusz do siebie, dzisiaj dusz nie ma—całe więc dawne pojęcie miłości, wobec twierdzeń nowszej nauki upada: w tem ja widzę przyczynę zniknięcia tego uczucia, a nie w niższości umysłowej kobiet — kochać bowiem można istoty znacznie niższe od siebie umysłowo i zrozumieć się z niemi „myślą serca" [1]) jak to panowie po łacinie mówicie.

Nie widzę też słuszności w twierdzeniu autora, że strój nasz pretensyonalny, serca mężczyzn odstręcza.

Kobiety posypują twarze bielidłem, noszą na głowach wyszukane i śmieszne fryzury, wycinają nadmiarę staniki, to prawda; dowodzi to złego smaku—zapewne,—ale czyjego? oto, złego smaku mężczyzn a nie kobiet. Co panowie zarzucacie kobietom używających tych środków toaletowych? Zbyteczną chęć podobania się. Ale komu? Zapewne nie samym sobie, ani innym kobietom, bo cóż by nam natem zależało? Wam to mili panowie podobać się chcemy — a wiedząc, że nam się nie powiedzie, jeżeli działać będziemy na waszę stronę duchową, której w imię filozofii materyalnej tak się zawzięcie wypieracie, działamy na zmysły...

Kto zna salony nasze i ich wymagania, wie dobrze, iż światowej młodzieży nie może podobać się kobieta zaniedbująca toaletę, wie, że nawet uczciwą skromność chłoszczecie często mianem *pruderyi*.

Szanowny krytyk, *popełnionych* przeze mnie w chwili wolnej wierszyków, tłómaczy niechęć mężczyzn do zawierania związków małżeńskich wielkiemi wymaganiami kobiet, kosztownością ich potrzeb i rozrywek. I tutaj podobnie panowie błądzicie, nam, własne swoje przypisując winy.

Kochajcie prawdziwie, wybrne przez was towarzyski życia, dajcie im szczęście domowe, a szukać go nie będą na balach i zagranicą. Porachujcie przytem, co sami wydajecie na wasze rozrywki, przejażdki, pohulanki w wesołem gronie kolegów, na szkaradny tytoń, szampana i t. p., a rachunki nasze niezawodnie się zrównoważą.

Na tem kończę; znalazłszy zadosyć uczynienie w sądzie czytelników i w wypowiedzeniu własnych przekonań: pokonanemu przeciwnikowi ofiaruję przebaczenie. Prócz przebaczenia wszakże mam dla niego jedno je-

[1]) W poprzednim numerze „Ogniska" pomieściliśmy artykuł pod tytułem: „Miłość wobec wymagań czasu". Dziś bezstronność nie dozwala nam odmówić miejsca, nadesłanemu do Redakcyi wraz z uprzejmym listem „Głosowi Kobiety", nieznanej nam wprawdzie, ale ze szlachetnym zapałem broniącej sprawy zarówno własnej jak i całego niewieściego rodu.

[1]) Mente cordis.

szcze słowo: oto, podziękowanie za pewnę wzmiankę o mojej osobie, którą czytelnik łatwo znajdzie w jednym z ustępów artykułu pomieszczonego w poprzednim numerze „*Ogniska*“—artykułu, na który to pismo moje jest odpowiedzią. Źle może czynię pisząc powyższe wyrazy, ale ja, równie jak i mój krytyk, nie umiem naprawiać błędów, kreśląc już napisane myśli — wybaczcie słabości kobiecej. Zresztą—przekonaną jestem, że współpracownik *Ogniska* nie zna mnie, utworek zaś mój pochwycił zapewne zwiedzając mieszkanie, które wkrótce opuszczę wraz z rodzicami wyjeżdżając, może nazawsze, z Warszawy. Gdzie zaś autor zdołał mnie zobaczyć, bez czego przecież owej pochlebnej o mnie wzmianki napisaćby nie mógł, tego już nie wiem i odgadnąć nie jestem w stanie. Metrykę moję, jaką pod znalezionym w pokoju wierszykiem wydrukować mu się podobało, usłyszał z ust służącej, która mu mieszkanie pokazywała. Nie byłabym kobietą gdybym w metryce tej coś na korzyść prawdy chciała odmienić.

Takim to sposobem zostałam autorką, a utwór mój posłużył za przedmiot do uczonego traktatu o kobietach!....

Biedna inwencya literacka, jakim ona sposobem materyały swoje zdobywa!

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

Sierpień—Wrzesień 1874 r.

K. Wł. Wójcickiego.

(Dokończenie).

Zaleski doczekał się księcia, i już podanie o nabycie tej budowli zrobionem zostało.

Sekretarz Akademii Umiejętności Józef Szujski przed swą wycieczką do Wilna, zaprosił mnie z Kremerem na herbatę. Szujskiego wybitna postać, wzrostu wysokiego, twarzy pociągłej, orlego nosa: nosi ciągle okulary. Gdym był w roku 1869 w Krakowie, odwiedziłem go w jego małym folwarku *Kurdwanowie*, w którym z małżonką i dziećmi przemieszkuje. Pamiętam osobliwszej budowy tam szpichlerz, wyniosły, piętrowy, zabytek starej architektury drewnianej, a przy ogrodzie, starożytny jeszcze kawał muru, sięgający w daleką przeszłość. Z pomiędzy drzew małego ogrodu, widać jak na dłoni *Kopiec Kościuszki*, bo folwark ten o małą milkę od Krakowa leży. Teraz gdy objął w Uniwersytecie Jagiellońskim katedrę historyi polskiej i obowiązki sekretarza Akademii, zamieszkał stale w Krakowie, gdzie na *Krupniczej* ulicy, restauruje dom dlą siebie. Przy nim ma obszerny ogród. Na dole urządza sobie duży pokój na pracownię z wyjściem do tegoż ogrodu. Potrzebuje też zaprawdę zaciszy, bo ciągle zajęty pracą, a ma jej dostatek, on bowiem kieruje całem wydawnictwem Akademii Umiejętności.

Postanowiłem bliżej poznać się z A. H. Kirkorem, z którym oddawna korespondowałem, gdy wydawał *Tekę Wileńską* i *Kuryera Wileńskiego*. Mieszka on na *Karmelickiej* ulicy, obok dobrze mi znanego domu, gdzie przebywał mój przyjaciel stary Ambroży Grbowski.

Przyjął mnie serdecznie: właśnie wrócił z *Pokucia*, z pomiędzy siedliska górali *Huculów* gdzie z polecenia Akademii Umiejętności krakowskiej robił poszukiwania archeologiczne, uwieńczone pomyślnym rezultatem, podobnie jak poprzednio w *Kwaczale* za Krakowem.

Zwykle to bywa, że ludzi osobiście nieznanych, ale z którymi wiążą nas stosunki piśmienne, zaraz wyobrażamy sobie postać, oblicze, spojrzenie, głos i układ cały. Zawodzą one zawsze prawie; taki mnie zawiodły. Wbrew wyobraźni o postaci Kirkora, ujrzałem człowieka niskiego wzrostu, krępego, silnie zbudowanego bruneta, z oczyma czarnemi, twarzy okrągłej, czerstwej, pełnego życia. Kiedy swobodnie może mówić, niebraknie mu jak i Kremerowi treści i płynnie rzecz opowiada.

W cichym zakątku siedzi i pracuje. Pomiędzy wielu wykończonemi rozprawami, dotyczącemi słowiańszczyzny jak: *O pierwotnej Słowiańszczyźnie; Zarysy mitologii Słowiańskiej*, podług tradycyi i pieśni ludowych; *Zarysy etnograficzno-historyczne Serbii i Czarnogórza*, większych rozmiarów są prace: *Skarbiec katedry Wileńskiej*, podług akt kapitulnych i wizyt kościelnych; *Groby Królewskie i Wielko-książęce w Wilnie*, ze źródeł dotąd nieznanych, głównie z akt kapitulnych i aktów wójtowskich. Najobszerniejszą zaś rozprawą jest: *Zarysy Litwy i Rusi*, pod względem etnograficznym, statystycznym i archeologicznym. Wzbogacił je autor wspomnieniami historycznemi, rysem etnograficznym i wymienieniem ważniejszych zabytków archeologicznych.

Kirkor od chwili poznania się naszego częstym bywał gościem, i do przyjemniejszych wieczorów w Krakowie policzam te, które nam zeszły na swobodnej pogawędce, z nim i z Kremerem.

Wspomniał mi, że przeglądając katalog Biblioteki Załuskich w Petersburgu, znalazł w nim wspomnienie, o zachowanej: „Syrenie bogini Kowieńskiej, wyobrażającej dwie rzeki“ oraz że wynaleziono w klasztorze Dominikanów w Kownie *Perkunasa*, szczero-złotego. W *Orszy* przy przerabianiu kościoła, w niszy odkryto w roku 1803 także posąg szczero-złoty *Perkunasa*, i ten wedle miejscowego podania ofiarowano ówczesnemu papieżowi.

Kirkor, miewał wciągu tegorocznej zimy kilka odczytów mających na celu oznajomienie słuchaczy z literaturą plemion słowiańskich: latem robi wycieczki archeologiczne w różne strony Galicyi i pozyskane zdobycze składa w Muzeum Akademii Umiejętności. Po bliższym poznaniu szczery i otwarty, co ma w sercu i myśli tego nie tai i wypowiada śmiało, oddany namiętnie pracy, nie mało ubogaci literaturę naszę.

Profesor Uniwerstytetu Jagiellońskiego Dr Józef Łepkowski, będąc u mnie w Warszawie przed wycieczką swoją do Gdańska i Torunia, mówił mi że ma jedyną akwarellę Matejki i radził abym ją zobaczył. Wybraliśmy się do jego willi, jaką sobie zbudował za plantami wpobliżu kościoła Kapucynów. Domek to mały, gustowny, w ogrodzie, teraz opustoszały bo i małżonka jego z dziećmi bawiła w Sieniawie. Gospodyni uprzedzona o naszem przybyciu, otwarła nam podwoje. W bawialnym pokoju ujrzeliśmy owę akwarellę. Ma przedstawiać popiersie słynnego Michała Glińskiego,

---

U OGNISKA.

(X) Bóg z Wami! do swej chaty poczciwej ogniska,
Przypuszacie obcego w tych progach przybysza,
I gdy rad gościnności na ławę się wciska,
Już nadstawiacie ucha, już nastaje cisza,
Już oczy nań zwrócone pytają widocznie:
„Od czego ta figura gawędę rozpocznie?“

A przybysza strach bierze, serce w nim kołacze,
Toćże Was byle jakie nie nasycą baśnie,
Nuż się nowy gaduła spisze jak partacze,
Przymusi Was do drzémki, lub gorzej... sam zaśnie!...
Zgroza! płończe wesoło na ognisku głownie,
Zagrzejcie pierś, niech słowa polecą szykownie!

Oj! a to co? w brulionie zamiast *szykownie* napisało mi się *szynkownie*... i to nieproszone *n* zmieniło całkiem myśl mojego życzenia;... gwałtu!

litera docet, litera nocet,
i może słodycz zamienić w ocet...

dziękuję! wcale nie mam i nie miałem takiego zamiaru. Oglądam pióro... aha! nie moje! — zabrałem je przypadkiem, nie mogę sobie przypomnieć skąd?... albo może złośliwość podrzuciła je głąb mojego wędrownego mantelzaka. Wyrzucam je bez ceremonii oknem, biorę inne, podarowane mi przez... oh! bodaj przez anioła dobrej myśli i prawdy... i rozpoczynam pogadankę od przedstawienia się czytelnikom.

Nie jestem poetą ani literatem... choć mając lat 14, pisałem wiersze nad któremi płakała stara kucharka moich rodziców, które mama z dumą odczytywała sąsiadkom, a z których mój poczciwy ojczysko wróżył, że będę kiedyś doskonałym... aptekarzem. Nie jestem wirtuozem, choć moja stara ciotka słysząc jak zamiast gam i ćwiczeń palcowych nieoszacowanej szkoły Nowakowskiego, wygrywałem ze słuchu wesołe motywa oper lub ulotnych piosneczek, zapowiadała mi kompozytorską przyszłość, o jakiej pewno żadna z ciotek Moniuszki nie marzyła; nie jestem malarzem, chociaż dalipan, jeszcze w pierwszej klasie, umiałem doskonale narysować nos i śpiczasty kapelusz naszego zacnego profesora łaciny, razem z jego drobną a pocieszną figurką; nie należę do żadnego towarzystwa uczonych, archeologów, historyków, naturalistów, estetyków, lingwistów, ekonomistów, itd. itd. itd. do czego zresztą nie mam najmniejszej pretensyi. Czemże więc jestem?... ot, niczem, tytułem jednej z komedyi Legouve'go, *Człowiekiem bez stanu*... który jednak, lubiąc w wolnych od próżnowania chwilach, zabijać czas jaką dobrą książką, kochając zapamiętale teatr, muzykę, poezyą i wszystko co jest dziełem natchnienia, rozumu i talentu, wałęsając się tu i owdzie, i przypatrując ciekawie ludziom, powoli nabył jakiego takiego sądu o rzeczy i odzywa się z nim nie z powagą i analizą specyalisty, ale z poczuciem dosyć ogładzonej jednostki wyrwanej z ogółu... jednem słowem, jestem atomem publiczności dla której przecież Pan Bóg stworzył ten świat i wszystko co na nim jest... atomem ruchliwym, wrażliwym, ciekawym, gadatliwym, a tem samem, niemogącym wytrzymać aby niewyspowiadać się ze swoich wrażeń, zwłaszcza przy jaskrawo a przyjaźnie płonącem ognisku. Nie bierzcież kochani czytelnicy za Ewangielią tego co powiem, śmiejcie się z nietrafności zdań gdy ją spotkacie, ale zamawiam sobie, jeżeli mi się powiedzie trafić

którego pamięci F. Wężyk poświęcił tragedyą w pięciu aktach wierszem p. n. *Gliński*, grygraną nieraz na teatrze narodowym w Warszawie, na Krasińskich placu. Wizerunek jest po kolana: na obliczu dobrze się maluje pycha i duma. Spojrzawszy raz łatwo rozpoznać śmiałe pociągi mistrzowskiej ręki Matejki.

Tu poznałem młodego *Ejsmonta* redaktora i wydawcę książki zbiorowej drukowanej w Kijowie p. n. *Co Bóg dał*, która tak sympatycznie u nas przyjętą została przez całą prasę. Uczęszcza on tu na uniwerstytet, dla wyższego wykształcenia, i gorliwie oddaje się pracy.

Muszę tu wspomnieć, że obraz olejny Kopernik, Matejki zakupiony i ofiarowany bibliotece Jagiellońskiej, mieści się w jednej z jej sal nowo-wyrestaurowanych. Inaczej on tu się wydaje, niż wtedy gdy ukazywano go w Warszawie, bo sam mistrz ustawił go w dobrem i odpowiedniem świetle.

Z Krmerem zwiedziliśmy *Muzeum Techniczno-przemysłowe Krakowskie*, w klasztorze O.O. Franciszkanów założone przez Dr Adryana Baranieckiego. Przyjął nas sam założyciel a gościnnie oprowadzając, objaśniał zgromadzone tu przedmioty, i osobliwości. Niskiego wzrostu, nieco krępy, brunet, twarzy okrągłej, w rozmowie nadzwyczaj miły i uprzejmy. Wyszliśmy przejęci podziwem i uszanowaniem dla niego, bo rzadko znaleść równego męża, któryby tak chętnie pracę i mienie własne całego życia, oddawał na użytek dobra ogółu, i z taką ciągle troskliwością nietylko czuwał nad niem, ale codziennie niemal wzbogacał, ujmując sobie, i skąpiąc własnym potrzebom.

Na rynku spotkałem dawno mi znajomego artystę i pisarza *Walerego Eliasza*. Piękna to postać i wydatna—a w rysach twarzy więcej wyrazu niewieściego jak męzkiego. Ukochał on szczególniej Tatry, i w nich całe lato prawie rok rocznie przepędza. Przed kilką laty wydał „*Przewodnika po Tatrach*," a w roku bieżącym ogłosił w większych rozmiarach dzieło: „*Podróż w Tatry*," — Obiedwie prace grantownie i zajmująco skreślone, ozdobione rycinami.

Stara to rodzina malarzów krakowskich. Ojciec Walergo, równie wyniosłego wzrostu, który wyłącznie zajmuje się malowaniem obrazów do kościołów, przy synu swoim wygląda jak brat starszy. Słynie on nadto jako wyborny restaurator starych i zniszczonych obrazów.

Walery Eliasz mieszka na *Łobzowskiej* ulicy; odwiedziłem go, ażeby obejrzeć jego pracownię. W r. 1869 widziałem *Śmierć Żółkiewskiego pod Cecorą*. Obraz ten już zakupiono z wystawy wiedeńskiej. Ma tylko u siebie wielki obraz przedstawiający Czarnieckiego w czasie obrony Krakowa przeciw Szwedom 1655 roku.

Dzielny wojownik stoi przy zeszczerbionych murach miejskich w gronie najbliższych obrońców. Obok niego widzimy *Płazę* wielkorządzcę zamku krakowskiego, — *Krzysztofa Wąsowicza* pułkownika dragonii, *Jędrzeja Cieniowicza* burmistrza krakowskiego i *Michała Gnacińskiego* pułkownika piechoty. Paupry krakowskie pokazują Czarnieckiemu wyzbierane kule z armat szwedzkich, które mury miasta szczerbiły. Figury są wielkości naturalnej. Układ ich malowniczy — całość zajmuje uwagę każdego znawcy; utwór ten dobrze świadczy o talencie młodego artysty. Z olejnych obrazów zwraca oczy z *Pana Tadeusza*: *Protazy* czytający pozew hrabiemu, i *Gerwazy* ostatni klucznik na którego obliczu, jak poeta mówi: „już uśmiechu nie widziano;" oraz *Teofila Sobieska* z dwoma synami Markiem i Janem późniejszym królem Janem III, u grobu Żółkiewskiego w Żółkwi. Wiele też oglądałem widoków z Tatr, które nasz artysta tak ukochał, oraz szkic do obrazu: *Chodkiewicz pod Chocimem*, w chwili gdy już schorzały zrywa się do walki. Z wielkiem zajęciem przejrzałem dwanaście *akwareli*, jako ilustracye do *Maryi* Malczewskiego, i przyznać muszę, że pierwszy raz miałem przed oczyma rysunki, godne Maryi! To by była dopiero prawdziwa ilustracya tego poety!

Robiąc przybory do drogi z powrotem, należało mi jeszcze nawiedzić profesora *Władysława Łuszczkiewicza*, który przed kilku dniami powrócił z wycieczki naukowej przedsięwziętej do Wielkiego Księstwa Poznańskiego, w celu zbadania sławnych ruin na kępie w *Lednogórze*, podawanych za szczątki świątyni pogańskiej. Łuszczkiewicz głównie przewodniczył przy restauracyi wielkiego ołtarza u Panny Maryi, arcydzieła dłuta Wita-Stwosza. Znałem wiele szacownych prac, które poprzednio ogłosił drukiem a w nich okazał głęboką znajomość przedmiotu który traktował. Wysokiego wzrostu, blond-szatyn, rysów szlachetnych oblicza, jest ujmujący i nader przyjemny w obejściu — i płynnej wywowy. Pokazywał mi z tej wycieczki plon zebrany. Ze ścisłością niemiecką po obejrzeniu pomienionych ruin, okazało się, że są to szczątki najdawniejszego kościoła chrześcijańskiego. Do wielu rycin na miejscu zdjętych i pomiarów, przyłączony tekst, wyjaśni wszelkie szczegóły, wątpliwości usunie i prawdę ostatecznego wniosku pokaże. Praca ta ukaże się w Pamiętniku *Akademi umiejętności* w Tomie II, wydziału historyczno-filozoficznego. Przed kilkunastu laty rozpoczął wydawnictwo p. n. *Zabytki budownictwa*, w formacie wielkiego arkusza. Szacowna ta publikacya składa się z pięciu zeszytów, bo dalszych zaniechał, nie mogąc odzyskać nakładu, chociaż pracy własnej i kosztów wycieczek swoich nie liczył. Mieszczą się tu rysunki kościołów najdawniejszych, rozpoczynając od XII wieku, klasztorów i ruin zamkowych, wraz z ich planami. Rzecz naukowa i sumiennie opracowana. Piękną mi myśl a prawdziwą wypowiedział, że sztuka wpierw u nas się pojawiła jak literatura, po jej pamiątkach możemy sądzić, o oświacie narodu, który niemi wymownie przemawia do swej dalekiej potomności.

Ulubiony poeta *Adam Aasnyk* znany pod imieniem *Ell-y*, wrócił z *Zakopanego* i wycieczek w Tatry, ożywiony powietrzem i był łaskaw nawiedzić mnie parę razy. Zbiór jego poezyi—wydał A. Nowolecki w starannej edycyi w dwóch tomach. Wiele liczył na pokup,

---

w cetno, żebyście choć po cichu kiwnęli głową.

Czy komu przyszło na myśl, że słotna, śnieżna, błotna, to znowu mroźna pora przeskoku jesieni w zimę, mimo swojej brzydoty, jest zarazem porą najpiękniejszych uśmiechów, najrozkoszniejszych przymilań, grzeczności, posłuszeństwa i dobrego sprawowania? — Kto nie wierzy, lub nie rozumie dlaczego, niech przejdzie głównemi ulicami Warszawy i rozpatrzy się po wystawach bławatników, złotników, hutników, cukierników, jubilerów, cackarzy, stolarzy, itd. itd. itd. Co to tam rozmaitości! a wszystko świeżo zrobione, świeżo sprowadzone, a przynajmniej świeżo poobkurzane i z prawdziwie pongtno-wyzywającym szykiem poustawiane! Gwiazdka! gwiazdka się zbliża, gwiazdka już niedaleko... więc się żonki rozkosznicj uśmiechają do mężulków, dorosłe córunie do niezawsze hojnych tatuleńków; małe nygusy siedzą jak najęci nad książką... aut Caesar aut nihil! albo dobra cenzura, albo z kolendy figa! — Nawet lokaje o pół cala staranniej omiatają kurz z pańskich mebli, kucharki przynoszą mięso nieposzlakowanej wagi, pokojówki nie tłuką talerzy i szklanek, garderobiane z większym szacunkiem obchodzą się z kosztownemi sukniami pań swoich. Wszystko oddycha nadzieją niespodzianek, nie mówiąc o drobnej dziatwie, co na myśl samą rozpromienionych stoczkowem światłem choinek, aż podryga z radości.

Zostawmyż nadzieję drogocennych podarków starszym, pozwólmy drobniuchnemu zastępowi jasnych główek marzyć o cudach sprowadzonych przez braci Lesser, lub sfabrykowanych w domorosłym zakładzie *bawialnym* Laskiego, a zwróćmy uwagę rodziców, na zabawki dla cokolwiek starszej przyszłości i chluby rodu ludzkiego, dla tej falangi malców, która krzywiąc się często nad gramatyką, zawsze z uśmiechem wita nową książeczkę w pięknej oprawie, gdzie spodziewa się znaleść ciekawą powiastkę i jaskrawo kolorowane obrazki. Pamiętajmy, że przy wyborze tego rodzaju zabawek, należy być uważniejszym, dobrze brać miarę na wiek i rozwinięcie umysłowe obdarowanych. Zapewne jak w każdym tak i w tym roku panowie wydawcy wystąpią z nowościami, których najliczniejszy i najstaranniej dobrany kontyngens, dostarczają bez zaprzeczenia firmy księgarskie pp. Gebethnera i Wolffa, Sennewalda, Orgelbranda, oraz drukarnia p. Kaufmana.

Troskliwi rodzice ujrzą tam stosy obroku dziecięco-duchowego, w których niepodobna nieznaleść zadowolenia najtrudniejszych wymagań. Jedną z takich nowości mamy już w ręku. Jest to książka in quarto... a obejrzeć ją warto! tytuł jej: „*Malowanki*, książeczka obrazkowa dla grzecznych dzieci z 10 tablicami kolorowanych rycin, opisanemi rymem przez Jana Chęcińskiego; wydana nakładem Gebethnera i Wolffa." — Autor widocznie przeznaczył ją dla malców od trzech do sześciu lat. Czemu dla tak malutkich? przecież się rzadko zdarza, aby sześcioletni młodzian, lub w tymże wieku panna, przebyli Rubikon gładkiego sylabizowania... Jednak to wielkie dzieło, napisane potoczystym, łatwym wierszykiem, wyraźnie dla nich poświęcone. Wiemy doskonale jak malcy pochwyciwszy lada obrazek, wypytują ciekawie starszych o jego znaczenie, i jak często starsi, zajęci domowym trudem, zbywają natrętnych niezawsze dokła-

tymczasem zaledwie sześćset egzemplarzy rozprzedał.

Asnyk męską prawdziwie przedstawia nam postać. Wysokiego wzrostu, oblicze ściągłe, wydatne, zawsze poważne. W rozmowie powolny,—rzadki uśmiech jeżeli je ożywi, mile na bladych licach wygląda. Pytałem nad czem pracuje, odrzekł mi na to, że teraz rozpoczął dwa dramaty, jeden wierszem, drugi prozą, ale z lirycznych poezyi, nic nie napisał, próżnując w górach przez lato.

Dnia 19 września, w sobotę, liczne grono przyjaciół i znajomych przybyło na pożegnanie nas, bośmy nazajutrz wybierali się z powrotem do Warszawy. Wcześnie się rozeszli z życzeniem szczęśliwej drogi.

W niedzielę około ósmej rano, opuszczaliśmy Kraków. Przejeżdżając rynek, spojrzałem rzewnem okiem, na ulubione mi zawsze mury kościoła Panny Maryi, starych Sukiennic i kamienic. Ruch już był wielki — mieszkańcy i lud z okolic spieszył do kościołów.

Czy cię stary grodzie, ujrzę jeszcze w życiu pomyślałem, czy was uścisnę starzy a wierni przyjaciele moi!

Żal ścisnął serce—i łzy do oczu nabiegły!

SŁOWIANIE
na ziemi Madziarskiej,

PRZEZ

A. H. Kirkora.

(Dokończenie).

Do pomocy Hattalowi przybyli ks. *Andrzej Radliński*, ks. *Józef Viktorin* i kilku innych. Oni to nadali nowy kierunek literaturze słowackiej, już znowu czysto katolicki. Jakoż oprócz kilku gramatyk, naprzykład Viktorina (po niemiecku napisanej), almanachów (Konkordia, Lipa 1864), najwięcej wychodzi dzieł treści religijnej. Mają swoję Maticę na wzór czeskiej, mają 16 pism czasowych; w r. 1872 wogóle wyszło dzieł słowackich 68, gdy w tymże czasie w Czechach i na Morawie wyszło 947 [1])

W Peszcie wychodzi *Bibliotéka Ludová*. *Galbavy*, *Kordosa*, *Kożehaby* — ogłosili kilka dzieł elementarnych. *Dr. E. H. Costa*, prezydent Maticy słowackiej, jeszcze pod koniec r. 1870 zaczął wydawać Bibliografią słowacką. Matica ogłasza *Latopiś Matice Slovenskéy* pod redakcyą wiceprezydenta *Viliama Paulina Tôth;* w przeszłym roku wyszedł za rok 1872 tom IX i zawiera niektóre ciekawe artykuły treści historycznej, jak naprz. *Slovanski valećniki v Uhorsku* przez Fr. V. *Sasinka.* Ten sam Sasinek wydaje Dzieje królestwa Węgierskiego. Jest to najgorliwszy dziś z pracowników słowackich; pod jego redakcyą, jako *tajomnika* t. j. sekretarza Maticy wychodzi nader ważny dyplomataryusz historyczno-literacki p. n. *Archiv starych ćesko-slovenskych listin*, *pisemnosti*, *a déjepisnych pôvodin pre dejepis a literatúru.* Jest on zarazem i archeologiem i wydał skazówkę do poszukiwań archeologicznych. *Michal Boross* ogłosił w roku zeszłym *Politićna hodinka pro tich*, *ktoriby eśte neznali kelo hodin bilo k prospechu ctihodnych Slovakov*. Mają Słowacy swego przyjaciela ludu. *Poućno zabavny casopis pre Slovensky lud— Vydavatel Jań Kadavy.* Zeszyt kosztuje 10 krajcarów (6 kop.) i zawiera od 48—80 str. Cena bajecznie tania, dowodząca jak wielka musi być ilość prenumeratorów. *Jan Bobula* tłómaczy niektóre powieści z rosyjskiego, np. *Dym* Turgieniewa. Balażović tłómaczy powieści ze szwedzkiego (Pastorkyna), a *Maryna Bobulowa* z niemieckiego.

Taki jest obecny stan piśmiennictwa tych biednych oderwańców od szczepu rodzinnego. Tyle pracy, tyle usiłowań do żadnych błogich rezultatów doprowadzić nie mogły, bo z gwary, raczej z gwar kilku, silnej literatury stworzyć nie zdołali, a i do dziś dnia skoro potrzeba mówić o wyższych przedmiotach, uciekać się muszą do wyrazów czeskich, nieznanych

[1]) Ob. *Vestnik Bibliograficzny*, *casopis pro literatura*, *Hudbu a Umeni*— pod redakcyą Fr. A. *Urbanka*, pismo stale wychodzące, nader starannie redagowane, jakiego nam właśnie braknie.

jeszcze ludowi. Słowacka literatura, jako odrębna od czeskiej nie ma i mieć nie może przyszłości, cały ten ruch niezwykły, tę tylko przyniół korzyść, że mógł wpłynąć na oświatę ludu, a dla wybrańszych z niego utorował drogę do łatwiejszego kształcenia się, zawsze jednak na wzorach czeskich. [1])

Piśmiennictwa innych słowiańskich szczepów zamieszkałych w Węgrzech mało wzbudzają interesu. Rusini należą do szczepu małoruskiego i używają tegoż narzecza, z bardzo niewielkiemi odmianami, które rozdział polityczny z bracią i stosunki społeczne wyrobić musiały. Mają i oni swoje piśmiennictwo, niebogate wprawdzie, wszakże dowodnie przekonywające, że narodowość rusińska i w Węgrzech nie umarła. Mają i pisma swoje czasowe, których język więcej już do rosyjskiego zbliżony. Trzeba w końcu przyznać Rusinom na Węgrzech zamieszkałym, że przy najnieprzyjaźniejszych okolicznościach język swój przechowali daleko czystszym i swobodniejszym od naleciałości obcych, niż Rusini galicyjscy, których prace drukowane takim nieraz językiem są pisane, że czystej krwi Małorus niezawsze je nawet zrozumie. Pod tym względem, Rusini galicyjscy grzeszą tak samo jak i Słowacy, odrywając się od tak zasobnego już piśmiennictwa, jak małoruskie. Poco Rusinom galicyjskim tworzyć nowy jakiś język, skoro mogą mieć ze wszech miar godne naśladowania wzory w takich pisarzach małoruskich jak Kotlarewski, Szewczenko, Hałko Jeremi (Kostomarow), Kulisz, Maksymowicz, Mordowcew, Biełozierski, Storożenko Aleksy, Apatowicz, Marko Wowczok (pani Markowiczowa), Artemowski Hułak, utalentowana Kochanowska i wielu innych. Ich język doprowadzony już do takiego stopnia wydoskonalenia i tak wybitną

[1]) Ob. O literaturze słowackiej *Pypina* — Historya literatur Słowiańskich, po rosyjsku, 1865, St. P., stron. 340; Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności, tom 1, 1835, str. 390— artykuł N. *Medyńskiego*, *Knigopisny Slovnik cesko-slovensky* od r. 1774, wydany przez Fr. *Doucha*, w 1865. Jest to szacowna Bibliografia, starannie i sumiennie zebrana (duży tom, we 2 szpalty, drobnym drukiem, 329 stronic); *Slovnik naućny*, wydawany przez Dra F. L. *Riegera* i J. *Malego*, oraz wyżej przytoczony *Vestnik Bibliograficzny*.

dną odpowiedzią. Otóż w *Malowankach* znajdą tę odpowiedź gotową, połączoną zawsze z jakimś lekko wypowiedzianym morałem. Przeczytawszy kilka wierszyków dziecku, raz, drugi i trzeci, w jego pamięci zostanie nietylko objaśnienie rzeczy, ale i morał dający trochę do myślenia, a tem samem uczący myśleć. Zdaje się, że to niezgorszy sposób i że *malowanki* napisane przystępnym dla kilkoletnich mędrców stylem, zasłużą niemniej powodzenia niż *Dzień Grzecznego Władzia*, książeczka tegoż samego autora i tych samych wydawców która, mówiąc nawiasem, gdyby mniej ozdobnie była wydaną, a za to znacznie tańszą, stałaby się oddawna uciechą nietylko w zamożniejszych domach zrodzonej dziatwy.

Niepodobna wymienić wszystkich książek, począwszy od mnóstwa abecadlników, aż do dziełek poważniejszej treści, znajdujących się w wyżej wspomnianych księgarniach. Wyszczególnienie i ocenę tych nowości zostawiamy właściwej krytyce; powiemy tylko, że tą mniej łatwą niż się wydaje pracą, zajmowały się głowy i pióra autorek i autorów znanych w literaturze krajowej; Klementyna z T. Hofmanowa, Paulina Kraków, Ilnicka, S. Pruszakowa, Jachowicz, Dziekoński, Chęciński, Anczyc, Wac. Szymanowski i inni, dają dostateczną rękojmię, że ich prace na tem polu, obok rozrywki, założą zdrowy fundament pod dalsze wykształcenie małych i stopniowo dorastających czytelników.

Mówiąc o wykształceniu, przychodzą nam na myśl ci, który niewahają się spieszyć z chętną pomocą młodzieży, mającej zbyt szczupłe zasoby pieniężne, lub nie mającej wcale środków do kształcenia. Piszemy te słowa w wilią koncertu urządzonego pod kierunkiem A. Müncheimera na korzyść niezamożnych uczniów, o którym radzi pomówimy w następnej pogadance, a któremu tymczasem życzymy całą duszą świetnego rezultatu; bodajby sala Redutowa tak jutro napełnioną była, jak wczoraj sala Teatru Wielkiego, gdzie pani Anna Essipów, słyszana już w Warszawie pianistka czarowała swoim potężnym talentem słuchaczy, którzy nie mieli nawet czasu gniewać się o zmiany poczynione przez koncertankę w programie, a raczej zapominali o nich, porwani mistrzowską grą tej pierwszorzędnej wirtuozki.

Inaczej wcale powiodło się wystąpienie w operze *Halka* w roli tytułowej, pani Macharzyńskiej śpiewaczki poznańskiego teatru. Nie potępiamy pism odzywających się oględnie o artystce, której trwoga towarzysząca zwykle debiutom, mogła istotnie trochę przeszkadzać; ale nie możemy się zgodzić na przesadzoną oględność jednego z pp. sprawozdawców, z którego recenzyi daje się wysnuć wniosek, że gdyby się pani M. nie obawiała, gdyby orkiestra szła tego wieczora lepiej, gdyby partya Halki była łatwiejszą, gdyby akompaniament nie był przeładowany sutą instrumentacyą, pani M. możeby i wyszła ze swego zadania zwycięzko! — My wolemy poprostu, przyznając i czystą intonacyą i wyraźną wymowę i giętki głos pani Macharzyńskiej, powiedzieć, że gdyby Moniuszko był komponował dla tej siły śpiewaczki swoję operę, niebyłby skomponował tak jak skomponował, ani instrumentował tak jak instrumentował, że Bogu dzięki *Halka*, dzielnie zarekomendowana ogółowi przez pp. Rivoli, Dowiakowską,

nosi cechę swojskości, że można tylko żądać coraz większego rozwoju, nie zaś cofania się i kaleczenia mowy swej obczyzną.

W końcu co do Serbów i Chorwatów zamieszkałych w Węgrzech, ci trzymają się zawsze w piśmiennictwie wspólnego z bracią po zagranicami Węgier języka, łącząc się z wielką Ilirską swą ojczyzną i korzystając z ogólnej skarbnicy piśmiennej, a więc nie mają odrębnej literatury.

Dodać tu tylko możemy, że tak samo jak Słowacy, Serbowie i Chorwaci już od r. 1842, a szczególnie w wypadkach 1848 silnie działali przeciwko Węgrom, trzymając się prawowitego rządu, a na czele ruchu stał sławny poeta Ludwik *Hay*, (ur. 1810), również znakomici pisarze: *Wukatynowicz*, *Kukulewicz*, *Bohowicz*, bracia *Mażuranicze*, i inni. Ale tu widzimy zupełnie co innego: Hay troszczył się nie o oderwanie od pobratymczego szczepu w literaturze, lecz owszem o jaknajbliższą spójnię ze wszystkiemi prowincyami dawnej Illiryi, tworząc wspólną dla wszystkich pisownię. Pod tym względem zasługi Haya są wielkie.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Katedra w stylu włoskim zbudowana około 1668 r. cała z marmuru, po większej części białego, jest jedną z najpiękniejszych w Niemczech. Zdobią ją pomniki Arcybiskupów, sławne organy mistrza Egendachera — szpecą ją za to nędzne malowidła w ołtarzach. Przed katedrą stoi wcale piękny pomnik Niepokalanego Poczęcia roboty Hagenauera. Dodawszy do tego najpiękniejszy w Niemczech wodotrysk Antoniego Darii (r. 1664), posąg Mozarta przez Schwantalera i ogromną pływalnię dla koni, skończę z rzeźbiarstwem aby przejść na cmentarz ś-go Piotra.

Czytelnicy, zaczynam od tego, że każdemu z was życzę sto lat zdrowia nie wliczając w to czasu poświęconego na czytanie (widzicie jak was zachęcam!) ale gdyby z was któremu sprzykrzyło się na tym świecie i chciał sobie prześliczne miejsce wiecznego spoczynku wybrać radzę wam z duszy każcie się pochować na tym cmentarzu w Salzburgu. Najprzód zwracam waszę uwagę na towarzystwo. Ni mniej ni więcej tylko trzech świętych znanych z imienia i kilknastu nie znanych—jeden kompozytor muzyczny—stostra Mozarta—hrabina polka—no i wreszcie masa mniejszych lub większych dygnitarzy z miasta i okolicy. Zaznacza się, że plebs vel motłoch nie ma tu wstępu.

A tout seigneur tout honeur, zaczynam od świętych.

Pierwszym świętym, którego szczątki tu spoczywają, a który najwyżej stoi w martyrologi kościelnej jest śty Maksym.

Ś-ty Maksym jest jednym z najdawniejszych krzewicieli Chrześcijaństwa w tych okolicach. W czasie najazdu dzikich Herulów schronił się on wraz z uczniami do groty wykutej w granitowej skale na kilkadziesiąt stóp nad poziomem cmentarza położonej. Lecz wynaleziony tam wraz z uczniami, przez przebiegłych prześladowców zginął śmiercią męczeńską wyrzucony na dół przez otwór w skale. Z nim razem znalazło śmierć kilkunastu jego uczniów. Grota do dziś zachowała się w całości tak jak była w roku 477 (data śmierci świętego). Oprowadzający przewodnik utrzymuje, że to ś-ty Maksym wraz z uczniami wykuł tę grotę w skale—jestto jednak niepodobne do prawdy, gdyż kilkunastu ludzi w ciągu paruset lat nie mogłoby dokonać takiej tytanicznej pracy. Są tu jednak niespornie i dowody pracy świętego — zabytki z V wieku, mianowicie ołtarz, ławy granitowe, schody wykute z jednej groty do drugiej, prawdopodobnie na mieszkanie przeznaczonej—gdy pierwszą obrócono na kaplicę. Zwiedzenie tego przybytku przedstawia bardzo ciekawe zajęcie—może być jednak niebezpiecznem dla osób nieznoszących zmian nagłych temperatury—w grocie bowiem termometr nie przedstawia nigdy wyżej 8° Reaumura. Imiona dwóch drugich świętych są: ś-ty Witalis († r. 646) i ś-ty Robert.

Muzykiem pochowanym tutaj jest Michał Haydn brat słynnego Józefa. Słynął i Michał w swoim czasie jako znakomity kompozytor dzieł religijnych—dziś jednak prace jego mało są znane i sławę swoję zawdzięcza jedynie genialności znakomitego brata.

Siostra Mozarta jestto słynna z urody baronowa Sonenstein, która razem z brątem, jako cudowne dziecko pod względem zdolności muzycznych po dworach, panujących w Niemczech przez ojca obwożoną była.

Wreszcie hrabina Polka nazywała się Lanckorońska a uwiecznił ją Schwantaler pomnikiem, który stanowi ozdobę cmentarza. Oto geneologia, jak widzicie wspaniała i może usprawiedliwić moje twierdzenie.

Jestto jednak nic w porównaniu do położenia.

Wyobraźcie sobie czytelnicy — prześliczny mały ogród u podnóża skały — dokoła otoczony arkadami z zabytkami fresków od najdawniejszych czasów—dodajcie roślinność prawie południową— kilka pomników sztuki rzeczywistej wartości a będziecie mieli obraz, który wam da jakieś pojęcie o uroczym tym przybytku zmarłych. Jeśli was nie bierze ochota tam spoczywać, to już chyba wina mojej zdolności opisowej.

Jest jeczcze w Salzburgu dawny zamek arcybiskupi obecnie na cesarski przerobiony. Dawniej pokazywano tam ciekawym—pokój z umeblowaniem z czasów Ludwika XIV—szereg komnat wspaniałych i ładną kapliczkę. Obecnie jednak zamek ten nabrał znaczenia historycznego tam bowiem odbywał się ów sławny: *Zjazd Salzburgski*, który tyle niepokoju narobił w Europie—zjazd Napoleona III i Eugenii z Cesarzem i Cesarzową Austryackiemi.

Było to, jeśli się nie mylę, w połowie lipca 1867 roku. Trzeba było widzieć rozpromienionych Salzburgczyków, z jaką dumą przechwalali się, że ich miasto jest teatrem tak znakomitego w dziejach wypadku. Około 4-ej po południu ozwały się salwy armatnie z cytadeli górującej nad miastem i wspaniały pochód zaczął defilować przed naszemi oczami. Zaznaczyć trzeba, że przemyślni Niemcy—kazali sobie za okno jedno na ulicę płacić po kilka guldenów i wystawili specyalną estradę dla ciekawych, do której miejsca jak w teatrze sprzedawali. Bilet do ławki w 4-ch pierwszych rzędach kosztował 2 guldeny! bodaj to przemysł niemiecki! Pan Beust jechał z księciem de Gramont. Obie Cesarzowe w odkrytym powozie z Cesarzami na przodzie siedzącemi — masa świty z obydwów krajów! Lud krzyczał hurra! myśląc że posiada w swych murach największy geniusz polityczny XIX-go stulecia a to wszystko tymczasem skończyło się.... Sedanem. Vanitas vanitatum et omnia vanitas.

Gdzie dziś Beusty i Gramonty! gdzie Napoleon III. Takto z temi geniuszemi politycznemi—jeden krok fałszywy i z kolosu zostaje.....

A jednak ten sam Salzburg jest kolebką geniusza, który przetrwa wieki—zawsze wielki i niezachwiany—zawsze młody i potężny—

Juniewiczowę i inne artystki, przeszła już zwycięzko ogień krytyki, że nareszcie, gdyby pani M. miała tyle zasobów artystycznych ile odwagi, biorąc się do tak trudnej i wysoko dramatycznej partyi, nie byłaby doznała ani przyniosła zawodu, jakiego może zdoła uniknąć w operach lżejszych, a tem samem stosowniejszych dla siebie.

Tymczasem teatry nasze pulsują żwawem życiem. Artyści Opery Włoskiej odbywają próby z mejerberowskiej *Afrykanki*, trupa dramatyczna przygotowuje na benefis pani Modrzejewskiej tragedyą Szylera *Intryga i miłość*, w której oprócz benefisantki, przyjmą udział: pani Rakiewicz pp. Żółkowski Królikowski, Rapacki, Leszczyński, Szymanowski i inni. Po komedyi Zalewskiego *z Postępem*, która jakby naprzekór surowej krytyce, dotąd napełnia salę teatru Rozmaitości publicznością, ma się ukazać komedya cztero-aktowa E. Lubowskiego p. t. *Nietoperze*, której o ile wiemy, ci co ją słyszeli wróżą powodzenie. W bieżącym też sezonie zimowym, podobno ujrzymy na wielkiej scenie dramat Rapackiego *Wit Stwosz*, a na małej pięcio-aktową komedyą wierszem Chęcińskiego: *Krytycy*.—Oj! czy to nie będzie zawiele? i czy, jak w komedyi Zalewskiego odzywa się stara hrabina do świeżego a chełpiącego się ze swoich przodków hrabiego:" Hrabio, ustąp ty z Prymasa!" niemamy powodu odezwać się do reżysera:„ reżyserze, ustąp ty na ten sezon z *Krytyków* a chociaż ciekawi jesteśmy twojej komedyi, nie obiecuj czego niezdołasz dotrzymać i lepiej z góry powiedz, że dopiero przyszły sezon zimowy rozpocźniesz *Krytykami*"—

Ale nie łówmy ryb przed niewodem, są na świecie cuda o których ani się śniło złośliwym felietonistom; *Krytycy*, mogą się ukazać w bieżącym sezonie, tak dobrze, jak gaz, który przy dzisiejszym przymrozku gra zemną w ślepą babkę, raz udając błyskawicę, to znowu, pozostawiając mnie i stół redakcyjny i moję niedokończoną pogadankę w ponurej ciemności, może się raz przecie zacząć palić mniej ruchliwym płomieniem.

Ten przeklęty, czy może zaklęty gaz przeszkadza mi pisać, a mam jeszcze palnąć maleńką mówkę do czytelników. La bourse ou la vie! albo będziecie drzemać przy moich pogadankach, albo zasilajcie je materyałami! Niech wszystko idzie na ogólny pożytek! młodzi poeci i młode poetki sięgnijcie do waszych tek i jeżeli chcecie propagacyi waszych młodzieńczych natchnień, przyślijcie jaki wierszyk; zbieracze nowinek, dajcie nowinkę, niewinną ploteczkę, wypadek lub wypadeczek, sypnijcie gradem korespondencyi; oburzenie, uwielbienie, zdziwienie, zaciekawienie, brylant dowcipu, łza nad niedolą, polecenie nieszczęśliwych dobroczynnym......

I jeszcze i jeszcze i jeszcze,
Materyał skromny czy szumny,
Wszystko wypieszczę i zmieszczę,
W mej pogadanki kolumny;
I bądzie żwawsza i szczersza,
Zawsze świeżego coś powie,
I ja podwójny zysk złowię,
Bom przecie płatny od wiersza!

wiecznie wspaniały i pociągający—bo tym geniuszem jest król harmonii i melodyi—*Mozart*. To też Salzburgczanie szczycą się swoją sławą. Dom Mozarta ozdobiono złotą-lirą na koszt miasta—wystawiono mistrzowi posąg roboty Szwantalera i karilion nawet na wieży co półgodziny wygrywa na dzwonkach melodye wyjęte z dzieł jego—Prawda że dom jest zabrudzony jak śmietnik—że posąg stoi w końcu miasta i tknięty jest już zębem czasu—a karilion wygrywa fałszywie. Cóż stąd zawsze Salzburg zrobił swoje—hony soit qui mal y pense. A zresztą czyż nie może być słusznie dumnym w porównaniu do Warszawy, która nie mogła się zdobyć nawet na pomieszczenie pomnika dla Moniuszki—pomnika zrobionego ze stratą kosztów marmuru i transportu przez równie bezinteresowanego jak zdolnego rzeźbiarza. Doprawdy jeśli jak złośliwe przysłowie nasze powiada: i Niemcy są ludzie—to czemże my jesteśmy?!! (*dok. nast.*)

Znakomici mężowie i kobiety
W POLSCE
od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

I. WANDA.

Powieść o znakomitych mężach i kobietach w Polsce, w przeciągu początkowych trzystu lat dziejów naszych, wypada nam rozpocząć jedną z tych legend kronikarskich Mateusza Cholewy, o których mówi Moraczewski: „Są to wszystko powiastki, ale powiastki wiek za wiekiem w narodzie naszym rozwijane, upiękniane i pomnażane: że swoje, dawne i piękne, trzeba je znać koniecznie. Ale one może i wielkie, olbrzymie w swych skutkach. Póki w nie wierzono, a między mniej oświeconemi wierzono bardzo długo, musiały być pobudką nie do jednego wielkiego czynu. Jeśli na nich nie urósł, to w nich objęty i cudownie przepowiedziany charakter narodu."

Mówić nam przedewszystkiem wypadnie o Wandzie. Przedtem jednak kilka słów wyjaśnienia.

Podania zebrane przez Mateusza Cholewą, biskupa krakowskiego i dziejopisa, spółczesnego zatargom Władysława II-go z braćmi, są utworem ludowym wszechsłowiańskim, pochodzącym nie z jednego miejsca, i nie z jednego czasu. Forma łacińska i porównania erudycyjne oto dodatki kronikarza. Treść sama jest rodzinna, a o tem nas przekonywa powtarzanie się tych podań w różnych stronach i czasach po obszarze ziem słowiańskich.

Ściśle mówiąc, typy: Krakusa, Wandy, Popieli, Leszków nie są historyczne, choć za takie udać je kuszono się oddawna. Lelewel, który pierwszy dostrzegł w nich charakter lokalny i ogólny, oraz wykrył ludowe ich pochodzenie, uważał wkońcu wszystko za igraszkę konceptu wesołego pisarza, tak nic rozsądnego w dziejach do wykładu tych powieści znaleść nie mógł. *Nie mógł*, bo to są typy mytyczne.

Nieco o tem wspomniałem w Encyklopedyi mniejszej Orgelbrandów. Z czasem może będę w możności wydać część „Zarysów," specyalnie tę rzecz traktującą. Tu musze na ogólnikowem zdaniu poprzestać, że Wanda tylko z imienia i miejsca swego pobytu jest polską. Dzieje zaś jej życia pochódzą z ogólno słowiańskiej, a nawet z indo-europejskiej czy jafeckiej skarbnicy mytów.

Ta okoliczność tym więcej siły dodaje uwagom Moraczewskiego o symbolicznym czy wróżebnym charakterze tych podań. Myt utrwalony w pamięci i uczuciu ludu, zjawisko przyrody przyobleczone w kształty życia ludzkiego staje się wzorem dla wielu objawów i kierunków społeczeństwa czysto-polskiego. A przyczyna tego łatwa do pojęcia. Najdłużej mytem pogańskim snać żył naród polski, pomimo, że ukląkł u stóp krzyża Chrystusa i zanosił modły do świętych Jego kościoła. Najdłużej pod powłoką nowej wiary i form jej płynął żywy zdrój dawnych wyobrażeń. Jak zaś niegdy stosunki życiowe istotne dały formę zjawisku natury, tak teraz odwrotnie myt podtrzymywał i ukrzepiał odpowiednie kształty w dalszym rozwoju społeczeństwa.

Dlatego Wanda lubo przestała już swem imieniem wyrażać zrozumiale *wodę*, i straciła dla kronikarza znaczenie, widoczne jeszcze dla niejednego poety, jak tego dowodzi wiersz Klonowicza z VI żalu nagrobnego:

„. . . . . a Kochanowskiego
Ciężko *Wiślna Nimfa* płacze, *Najas* bogom [równa,
Na topolowem porzeczu, *Wanda Krakusówna;*"

zawsze przecie symbolizowała uczuciami jednej kobiety antypatye całego narodu w słynnej tej pieśni, której pono najdawniejszy ślad mamy w słowach Tymoreny, przodownicy pierwszego chóru dziewic w *Roksolankach* czyli *Ruskich Pannach* Zimorowicza (1629).

„Także i Wanda nie chcąc cudzoziemca
W małżeństwie cierpieć, Rotogera Niemca;
Nad wiślnym brzegiem pogrzebiona, *wszędzie
Rymem mu będzie*."

Nie jestto forma najdawniejsza całego podania, i miano przeciwnika Wandy zostało przez Długosza wzięte z podań Słowian nadelbańskich, jak słusznie dowodzi W. A. Maciejowski. Mniemanie zaś, że Wanda walczyła z Niemcem (Alemańczykiem) urosło z przekręcania wyrazów łacińskich, znaczących „książe Langar," co wyjaśnił w pewnej mierze rękopisami A. Bielowski. Ów Langar to właściwie pierwiastek świetlany (por. łacińskie lux), to jasność niebios, którą burzliwa chmura, pełne dżdżu obłoki zakrywają — to Indra (blask) podań indyjskich, zakryty przez Vritri (ob. włok). W mycie: woda uosobiła się w kobiecie, a słońce, blask dzienny wziął na się kształty mężczyzny; zajście między niemi na pozór ma postać wojny, istotnie zaś maluje ówczesne formy zaślubin — to jest zdobycie przemocą oblubienicy.

W kronice, po śmierci Kraka zostaje obraną dla miłości ojca, jego dziewczęcia, imieniem Wanda. Ta zarówno wytwornością kształtów, jak różnorodnych wdzięków pięknością tak inne przewyższała płci swej osoby, że przyroda, nietylko szczodrobliwą ale rozrzutną w jej uposażeniu być się zdawała. Bo i najrozważniejsi z mądrych zdumiewali się jej zdaniami i najsrożsi nieprzyjaciele na jej widok łagodnieli. To też kiedy jakiś książe niemiecki pałał żądzą zniszczenia jej narodu, kiedy jakoby opustoszały tron chce objąć, naraz raczej niesłychaną własnością, aniżeli siłą oręża zostaje pokonany. Zaledwo bowiem wojsko jego ujrzało naprzeciw siebie królowę, zostaje rażone niby nagłym słońca promieniem, wszyscy, jakby z zrządzenia boskiego wyzuci z wrogich usposobień, uchylają się od walki. Dowodzą, że uniknąć chcą świętokradztwa, nie boju, nie obawiają się człowieka, lecz wielbią w kobiecie nadziemski majestat.

Zaczem król ich, niewiadomo, miłością czy oburzeniem zdjęty, czy obojga wpływem zgnękany powiada: Wanda morzu, Wanda ziemi, Wanda powietrzu niech panuje! Wanda za swoich składa ofiary bogom nieśmiertelnym, a ja za was, moi dostojnicy, uroczystą piekłom przynoszę żertwę w tym zamiarze, aby tak wy jak waszych następców potomstwo osiwiało pod niewieścią władzą! Rzekł i padłszy na miecz dobyty, skonał.

........Wanda, że wzgardziła wszemi śluby, że nad małżeństwo przeniosła dziewiczość, bez potomka, zeszła ze świata........

W tej formie, powieść ta uderza uwydatnieniem mytycznej właściwości Wandy, owego blasku nadziemskiego, który przeciwnika o śmierć przyprawia. Ten zaś mści się, rzucając klątwę na swych rycerzy, by wiecznie pozostali w pętach niewieścich. Sens moralny: wpływ nieuniknony a potężny kobiety na losy mężczyzny.

Późniejsza nieco kronika położyła nacisk na stosunki sercowe. Powiada—że wieść o nadobności ciała Wandy doszła do pewnego Niemiec króla. A gdy jej ni darami ni prośbą do połączenia się z sobą małżeństwem nakłonić nie mógł, zapragnął i spodziewał się, że ją groźbą wroga i najazdem wojennem uczyni powolniejszą swym zamiarom. To też i w poprzedniej wersyi niewzruszona śmiercią swego przeciwnika, Wanda teraz przyjąwszy hołd od Niemców jego, wraca w swe granice i tu za tak wspaniałą sławę i pomyślne wyniki, bogom czyniąc ofiary, sama z mostu w wodę skacze.

Mimowoli przychodzi tu na myśl pieśń ludowa:

Śniło się Marysi na łóżku leżącej,
Że jej Jasio utonął *przez Wisłę*[1] ja-[dący.
. . . .
Skoczyła dziewczyna z *mostu*[2]) wyso-[kiego,
(albo) I wyrwała *miecz* ostry z boku Jasio-[wego.
Wyrwała, wyrwała i w siebie go wbiła,
(albo) Chcący razem płynąć obok Jasia swego.

Nie mylimy się podobno, twierdząc, że w tych waryantach o przebiciu się Jasia i skoczeniu Marysi z mostu przechowały się szczegóły powyższej opowieści o Wandzie.

Ni śladu wprawdzie niezostało w pieśni ludowej z rycerskości kobiety, która pod twardym puklerzem kryje tkliwe serce i woli lubego i siebie wskazać, aniżeli z nim się połączyć wbrew woli czy dobru własnego kraju.

W pieśni nie obowiązek lecz miłość góruje i prowadzi obu bohaterów do czynów, których forma jedynie przypomina tradycyą kronik.

Może to służyć za stwierdzenie wyżej postawionej tezy o trwałości mytów, o ich przechowywaniu się długiem, bo sięgającem aż do naszych czasów, w pamięci ludu wieśniaczego. Zakrój obecny powieści o Wandzie nosi piętno tej samej romantyczności, która powlekła niemal wszystkie utwory literatury kopalnej, odtąd jej piastuni zostali pozbawieni udziału w politycznem, społecznem i umysłowem życiu swojego kraju. Atoli i w tej formie ultra-erotycznej, po głębszem zbadaniu, dobywa się na jaw z uderzającą prawdą symbol.

Wedle podań kronikarskich, od Wandy wzięła miano rzeka, środkiem jej państwa płynąca, od Wandy przezwali się Wandalami ci, którzy jej władzy podlegają.

Nie miejsce tu udawadniać, o ile słusznie plemię zwane dotąd u Niemców Wandami[3]), nazachodzie, i wschodzie obdarzone mianem Winulów, mogło przybierać jedynym tylko dźwiękiem *d* różniące się nazwisko Wandali. Poprzesta-

[1]) przez morza. (Waryant).
[2]) z brzegu. (Waryant).
[3]) U Finnów i Skandynawców, Wenami i Wanami.

jemy na tożsamości stosunku między wyrazami Wend i Wan, oraz Winul i Wandal, który to stosunek usprawiedliwić może kronikarskie uosobienie w osobie kobiety, Wandy, całej krainy jej rządom niby podległej.

Gdy Wandy przeciwicy z miłości ku niej, oręż podnoszą, a zwierzchnictwu jej się oddali, można powiedzieć, że właśni Wandy zarazem poddani i miłośnicy starają się wydobyć jej serce z żelaznych oków... zbroicy. Chcą przełamać blachy wiążące pierś ich *matki*, bo pojęcie miłośnika i poddanego najwłaściwiej się zlewa w obrazie syna, który kocha i ulega swej rodzicielce.

Ale ciężka stal tamująca swobodny wylew uczuć Wandy, zarazem monarchini kraju, matki i bohdanki niweczy wysiłki orężne Wandali. W próżnej, bo tylko uczuciowej walce giną Wandale. Śmierć ich samobójstwem; bo targając się z orężem, i choć w dobrej myśli, tocząc walkę na łonie swej rodzicielki, ją morzą a z nią i siebie. Tak pozbawiona dzieci, które dla niej życie oddały, Wanda sama przez się, topiąc się w Wandzie, ginie symbolicznie.

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY
w kuchni, kółku domowem i salonie.

RADY PRAKTYCZNE

dla młodych żon i panien,

streszczone z dziełka

MARYI CALM.

(Dalszy ciąg)

Weźcie, po długiem czytaniu lekkiej literatury, książkę poważną do ręki, wyda się ona wam jałową, trudną do pojęcia; zdziwicie się same z jakiego powodu rozprawa, o której niejednokrotnie słyszałyście i mówiły na ławce szkolnej wydaje się tak trudną? Oto dlatego, żeście zapomniały myśleć o rzeczach poważnych, że umysł wasz karmiony płodami lekkiej literatury, nie znosi pożywniejszego pokarmu.

Smak zepsuty trudno naprawić; dlatego też starajcie się panie zamłodu, nie zapominać o tem, czegoście się na pensyi uczyły, ażebyście później, nie potrzbowały wzdychać, za czasem na próżno straconym.

Panienka wychodząca z pensyi powinnaby ułożyć sobie plan dalszego kształcenia się—zajmować się najprzód naukami poważnemi, obcemi językami, a w godzinach wolnych, czytać dobre romanse. Naprzykład nauki przyrodnicze mają pole tak obszerne, a tak dotychczas mało zgłębione przez płeć piękną, iż wartoby było więcej się niemi zająć.

Nie pragniemy wcale, iżby kobiety stały się astronomami, chemikami lub geografami, chcemy tylko, żeby zjawisk natury nie przypisywały niedorzecznym zabobonem, i żeby potrafiły znajomości z botaniki lub chemii, zastosować do swego gospodarstwa, naczem ogrodnictwo bardzoby wiele zyskało. Ta gałęź przemysłu gospodarczego u nas tak mało zwolenników mająca podniosłaby się znacznie, gdyż na wsi zazwyczaj dozór ogrodów i dochód z nich wyłącznie do gospodyń należą.

Dziewczynki uczą się wszystkie histryi starożytnej, średniowiecznej, i tak zwanej nowożytnej — wiela napamięć, nietylko najdrobniejsze wypadki, ale nawet i anegdotki historyczne, ale o naszych czasach—czasach, w których żyjemy, i które naturalnie powinnyby nas najwięcej obchodzić, bardzo mało, lub prawie nic nie wiedzą. Niedawno, pewna młoda panienka przysłuchając się ciekawie opowiadaniom z ostatniej wojny francusko-pruskiej—zapytała mnie, czy wypadki, o których mowa, były przed, lub po nocy św. Bartłomieja, gdyż nie przypomina sobie, żeby historya Lamé Fleury, o nich wzmiankowała. Czegóż taka naiwność dowodzi? Tego tylko, że nasze pensyonarki, głowę mając przepełnioną historyą czasów ubiegłych, wszystkie wypadki do tej dawnej epoki odnoszą. Otóż z tego wynika, że dobrzeby było, ażeby nasze panienki, czytywały dzienniki, lecz żeby czytały je w całości nie poprzestając na samych felietonach i anonsach.

Przykro wam nieraz, szanowne czytelniczki, znajdować się w towarzystwie, gdzie po większej części toczą się rozmowy polityczne, i nic nie rozumieć z tego co się mówi; starajcie się więc zapobiedz tej niewłaściwej w naszym wieku nieświadomości przez pilne czytywanie odpowiednich dzienników, streszczających w krótkości polityczne położenie i zatrzymywanie w pamięci tego co czytacie; tym sposobem wykształcenie wasze stanie się bardziej wszechstronnem i nieraz, niejednę chwilę w życiu uprzyjemnić i osłodzić wam zdoła.

IV. Sztuki piękne.

Weniger, wäre mehr.
Wieland.

Nikt nie zaprzeczy, że kobieta, ta delikatna i poetyczna istota, z powołania swego może zająć miejsce kapłanki, w świątyni sztuk pięknych.

Nie będziemy tu jednak mówili, o prawdziwych artystkach, gdyż liczba ich dość zresztą mała, znajduje zawsze uznanie w świecie, ale o dyletantkach, czyli amatorkach, które przy innych swoich zajęciach uważają za obowiązek poświęcać sztukom pięknym, parę godzin dziennie.

Kobiety z dziwnym uporem jednę muzę najbardziej protegują. Muzykę słyszeć możemy wszędzie; zarówno w chatkach, jak w pałacach, rozlegają się mniej lub więcej melodyjne tony, stosownie do poczucia artystycznego zwolenniczki Euterpy.

Wszakże jeżeliby ta bogini przeszła się w godzinach rannych, po ulicach naszych miast i posłyszała, wszystkie te gamy, rulady, etiudy, sonaty lub lżejsze kompozycye, wykonywane, po większej części niedbale, bez muzykalnego poczucia, przez ręce, uważające muzykę jako rodzaj pracy mechanicznej, bezwątpienia zakryłaby sobie głowę lub, co by praktyczniej było, zatkała uszy i pożałowała, że kiedyś wydała ludziom sztuki swojej tajemnicę.

Żart na stronę, a przyznać musimy, że gra fortepianowa znalazła, niezliczoną liczbę zwolenników i zwolenniczęk, kaleczących uszy nasze, bezmyślnem brząkaniem. Zamierzamy tu mówić o nadużyciach w tej mierze popełnianych. Otóż dziewczynka ośmio lub dziesięcio letnia, rzadko kiedy ma prawdziwą chęć do muzyki; nie przeszkadza to jednak rodzicom, zmuszać biedną dziecinę do uderzenia paluszkami po klawiszach, a gdy kto na to ich uwagę zwróci usiłuje, odpowiadają: Przecie musi się o tyle nauczyć, o ile to jest w domu potrzebne! Dotychczas, nigdy nie zdołaliśmy pojąć co też za pożytek *dom* może z podobnej gry osiągnąć? Dziewczynka nieraz ze łzami w oczach siada przy fortepianie, gra ćwiczenia gamy, trudzi się biedaczka, bez najmniejszej korzyści dla siebie i drugich, tylko dla dogodzenia fałszywej idei dobrego wychowania, wymagającego od panienki, aby umiała zagrać chociażby polkę lub walca. Muzykalność podobna doszła już do takiego rozwoju, że właściciele domów wynajmując mieszkania, zapytują niekiedy

— Wiele też państwo mają dzieci grających na fortepianie?

Jeżeli wasze dzieci mają talent prawdziwy kształcenie go jest obowiązkiem rodziców, ale niech nie wymagają ażeby wszystkie dzieci jedną postępowały drogą. Badajcie, ich skłonności i upodobania gdyż często chcąc wykształcić, talent, który dziecku sami narzucacie, zagłuszacie w nim inny, prawdziwy. Ileż to dziewcząt męczonych nadaremnie przy fortepianie, mogłoby stać się użytecznemi społeczeństwu, gruntowną nauką języków — zapewniłoby im to chlubną przyszłość, kiedy muzyka rzadko dostępuje uznania, z tej tylko przyczyny, że za wiele jej słyszymy. *(d. c. n.)*

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg).

— Masz Jerzy, mówił podając mu monetę jakąś, schowaj mi to, aż sam przybędę do Nowego-Jorku, inaczej przepiłbym to wprzódy. Kiedy mi przyjdzie posłać do Barring, Simms, bo sam nie wszedłbym do tego domu—każę odebrać i to.

— To złoto, kucharzu! zawołał Jerzy.

— Aha, szepnął, najlepszy ptak na świecie, orzeł—wszędzie wart dziesięć dolarów.

— Jakże wam podziękować za to, kucharzu, rzekł Jerzy wzruszony, żeście mnie, obcemu zawierzyli tyle pieniędzy.

— Ba, odparł kucharz, wydobywając butelkę ukrytą pod ławą, po co mi dziesięć dolarów na tym okręcie—śmieszne—ale oto Jerzy, wypij przed robotą, jaką masz przed sobą—to cię pokrzepi i rozgrzeje.

— Nie piję już wódki, bracie.

— Ba, przy takiej okazyi, nalegał kucharz, to już nie wódka, ale lekarstwo, a wszakże przeciwko lekarstwu nic nie będziesz miał do nadmienienia — łyknij porządnie, to ci się przyda, jak nigdy może w życiu twojem—niech to będzie poraz ostatni.

Kucharz miał racyą.

Jerzy przechylił butelkę i łyknął potężnie, tak, że sam kucharz wykrzyknął:

— Brawo!—a teraz, dalej chłopcze, nalegał, wyjdź na przód okrętu i bądź gotów—okręt już oddawna jest w spoczynku i nikt nie zwróci uwagi na ciebie. *God bless you!*

To powiedziawszy, podał rękę Jerzemu, silnie mu ścisnął dłoń i wypchnął go z kambuzy na prawo, podczas gdy sam drugiemi drzwiami udał się w lewą stronę pokładu, gdzie spodziewał się spotkać bednarza. Zeszedłszy się z tym ostatnim wszczął z nim rozmowę. Bednarz klął, na czem świat stoi, przykro mu bowiem było, że mu w ten sposób przerwano spoczynek. Ale kucharz nic sobie nie robił z tego. Czego żądał? Jerzy oczywiście nie mógł dosłyszeć—w końcu jednak bednarz dał się uprosić i zeszedł z nim do kajuty.

Tymczasem Jerzy wyszedł na kryty przód okrętu, gdzie zazwyczaj w nocy czujne były straże. W tej chwili przecież, na kotwicy, przed przypływem morza — uważano to za zbyteczne, a ludność okrętowa po większej części wałęsała się po środkowym pokładzie—z utęsknie

niem przyglądając się światełkom migającym na lądzie.

U stóp okrętu huczały fale. Jerzy widział, jak błyszcząca się woda morska opłukiwała łańcuch kotwiczny—i tam miał się spuścić na dół—wśród ciemności i nocy? Może go kurcz schwyci—może porwie ryba drapieżna!

— Jenny!

Wszystkie myśli jego w tym jednym ześrodkowały się wykrzykniku—raz jeszcze rzucił wzrokiem dokoła, czy go nie śledzą, schwycił jednę z lin, którą wprzód przytwierdził, spuścił się po niej, dostał się do łańcucha—i bez szmeru zniknął wśród bałwanów morskich.

VIII. Ucieczka.

Betsy-Crow niedużo jeszcze miała ładunku i dlatego stosunkowo wysoko wystawała ponad morze. Prąd był o wiele silniejszym, aniżeli Jerzy był przypuszczał, oprócz tego w miejscach gdzie woda została poruszoną, morze przeświecało bardzo, co z pokładu jeszcze miał sposobność zauważyć — kiedy np. uderzano weń wiosłem. Jeśliby więc natychmiast odpłynął od okrętu, byłby z pewnością zwrócił uwagę tego lub owego na pokładzie i naturalnie narażałby się na niebezpieczeństwo schwytania. Najlepszem mu się zdawało uczepić się okrętu i dać się porwać falom. To też szło prędzej, jak myślał, prąd bowiem nadzwyczaj był gwałtowny.

Przebywszy w ten sposób znaczną przestrzeń puścił okręt, zanurzył się zwolna i pędził pod wodą tak długo, póki mógł wstrzymywać oddech. Gdy zaś to mu się stało niemożliwem i zabrakło mu powietrza, ostrożnie uniósł się na powierzchnię, tak, że leżąc na grzbiecie, jedynie twarz miał wolną. Dopiero jednak wtedy pełną odetchnął piersią, kiedy spostrzegł się już tak daleko, że nie mogłby być poznanym przez ludzi stojących na okręcie.

Tymczasem na pokładzie *Betsy-Crow* wszystko pozostało w spokoju. Najprzód, że nie można było w tak krótkim czasie zauważyć braku—a powtóre—czyż podobna było przypuścić, że się ktokolwiek odważy wypłynąć na ląd, będący w tak ogromnej odległości? Zresztą należało Jerzemu wśród drogi unikać i innych okrętów, gdyż skądkolwiek byliby go dostrzegli, niewątpliwie wyprawiliby za nim łódkę w pogoń; kapitani w takich razach zawsze sobie pomagają nawzajem. Wtym wypadku alboby go zatrzymano na pokładzie, albo wydano w ręce policyi na lądzie—jedno gorsze od drugiego, zwłaszcza, że nie był w stanie dostarczyć żadnego dowodu na to, jak nikczemnie i bezprawnie z nim postąpiono.

Ale jakże dalekim jeszcze był ląd, co mu się z pokładu wydawał tak bliskim! Na szczęście jednak fale niosły go coraz bliżej i bliżej. Minął już ostatnie okręty, które tam stały na kotwicy i ujrzał długie, ciemne zabudowanie—jeden z warsztatów okrętowych stojących u przystani.

O ludojadach ani myślał, a im płydszą stawała się woda, tem mniej ich obawiać się miał potrzebę; nie śmiał przecież wyglądować około warsztatów, które były tuż przed nim. Wszak mógł się tam spotkać z policyą, której należało mu unikać i która bez pardonu byłaby go aresztowała i wydała okrętowi skąd zbiegł. Trzymał się też więcej strony prawej, na którą rzadsze z miasta padały światła. Ale jak trudnem stawało mu się dalsze pływanie!

Suknie jego dawno już wodą były przesiąkłe, jeśli zaś nie czuł tego z początku, to w miarę ubytku sił, ciężar ich stawał mu się coraz nieznośniejszy. Zakręciło mu się w głowie, przeszło go zimno przenikliwe, ścisnęły mu się zęby, prawie już nie widział, dokąd płynął—bezwładny prawie, leżał na powierzchni wody, niesiony przez fale ku lądowi. W końcu i do tego stał się niezdolnym.

— Jenny, wybąkał, a woda napływała mu do ust; zebrał ostatnie siły, wszak musiał być już bliskim lądu, ale czuł, że opadał coraz bardziej. Nie był już w stanie utrzymać głowy ponad wodą, a niekiedy zrywał się z wytężeniem, by odetchnąć. Ale i to trwało niedługo.

— Przepadło, wszystko przepadło, szepnął i zamierzał zdać się na los swój, gdy poczuł coś twardego pod nogami. Stracił prawie przytomność, ale instynktownie zerwał się raz jeszcze, twarde owe ciało unosiło go, wyprostował się, a podniósłszy głowę, ujrzał, że może oddychać. Nowe życie przebiegło po jego żyłach, do ostateczności wyprężone jego muskuły, mogły odpocząć, płuca jego napełniły się powietrzem, a coraz dalej popychany przez fale, poznał, że może na trzydzieści kroków od niego był ląd stały, piasczyste wybrzeże, ku któremu się zbliżał. I tam jednak stały domy niektóre; chcąc je wyminąć, zwrócił się na prawo. Gdy wyszedł z wody, odzież ciężyła mu jak ołów; pod ciężarem tym uginały się drżące jego kolana wiedział przecież, że wkrótce nastąpi przypływ i dla tego biegł co sił, aż dotarł wreszcie do mielizny glinastej. Ale stąd nie był już wstanie posunąć się ani kroku dalej—mechanicznie jeszcze poruszał nogami przez chwilę, potem wycieńczony i zemdlały padł na ziemię.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Świece czarne.—Dziennik Frankfurtski, podaje wiadomość, że od niedawnego czasu, zaczęto fabrykować w tem mieście, świece czarne, za pomocą użycia orzechów „Anacardium orientale." Orzechy wyżej pomienione, zawierają w sobie olej koloru ciemnego, który pomięszany, z płynem sterynowym, nadaje mu piękny czarny kolor, nie pozbawiając zarazem połysku właściwego wyrobionym zeń świecom. Wynalazek ten okazał się praktycznym i wchodzi w użycie zwłaszcza przy pogrzebach.

Zabawny przesąd dotyczący psów.— Mr. Skertchly naturalista angielski, w czasie swego ośmiomiesięcznego pobytu w państwie Dahomey, był raz przebudzony okropnem wyciem psów. Wycie i ujadanie, przeciągnęło się do białego dnia. Gospodarz domu, zapytany przez niego, coby ten hałas znaczył, odpowiedział, że to zwyczaj krajowy, dobrze znany przez każdego mieszkańca, państwa Dahomey, a który z łaski Opatrzności, jest zakryty, przed oczyma ludzi białych. Zwyczaj ten nakazuje, w pewnyah epokach roku, bić bez wyjątku, wszystkie psy, gdyż *te szkaradne bestye*, dodał zaciskając pięści, zbierają się cztery razy do roku na placach publicznych i starają się mówić głosem ludzkim, wtedy to wszyscy usiłują im w tem przeszkodzić, z obawy ażeby nie wygadały dużo tajemnic i nie przywołały chorób zaraźliwych na swych panów.

Przed kilkoma miesiącami odkryto na wyspie Ceylon, **największe ze znanych dotychczas drzewo różane.** Objętości ma ono 80 stóp, wysokości 15 stóp i wydało w tym roku, więcej jak 2,000 róż! Mieszkańcy tameczni mają to drzewo w wielkiem poszanowaniu, i oddają mu nawet cześć, gdyż wierzą, iż róże te są potomkami kwiatu upuszczonego przez Ewę, przy wyjściu jej z raju.

Obiady w Pompei.—Wiadomo każdemu, że to miasto zasypane popiołem i zalane lawą, najdokładniej przechowało do naszych czasów, nietylko przedmioty, ale nawet i resztki jedzenia, pożywanego przez mieszkańców w chwili strasznej katastrofy. W jednym z naj bogatszych domów, około *Forum*, natrafiono, na cały obiad nietknięty. Widać że niewolnik w chwili śmierci był zajęty nakrywaniem do stołu, gdyż znaleziono go, leżącego na podłodze, z serwetą na ręku. Na stole stały potrawy w takim porządku: Pierwsze danie składało się z oliwek, sałat, ryb i piklow, urządzonych na sposób naszych; drugie danie, stanowił ogromny półmisek, na którym symetrycznie ułożony był pieczony zając, posadzony na tylnych łapkach i trzymający w przednich jajko niebieskiego koloru, szczur faszerowany, kilka dużych ostryg, na samym zaś wierzchu mieścił się paw, z rozpostartemi skrzydły; trzecie danie, stanowił pewnien rodzaj kiełbas. Na wety wreszcie ustawiony był kosz z łozy prześlicznej roboty, mieszczący w sobie melona, czereśnie i morele. Widać mieszkańcy Pompei znali się dobrze na kuchni i mieli pod tym względem gust równie jak my wyrobiony.

Kartki wizytowe w Chinach.—Naród ten, tak przemyślny i zarazem oryginalny, używa też kartek wizytowych. Składają się one, z kwadratowego kawałka, ponsowej barwy papieru, na którym dużemi literami wypisują nazwisko, pod niem zaś piszą mniejszym charakterem: *Najgłupszy z twych braci.* Podobne bilety drogo kosztują, dlatego też oddają się one nazad właścicielom przy końcu roku.

OD REDAKCYI.

W pierwszym kwartale roku przyszłego 1875 *Tygodnik* **Ognisko Domowe**, wychodzić będzie jak dotąd, raz na tydzień t. j. co piątek, bez zmiany dotychczasowego programu i ceny. Poczynając od dnia 1 stycznia r. p. objętość naszego Tygodnika znacznie zostanie powiększoną przez dołączanie w miarę potrzeby *półarkuszowych* **bezpłatnych dodatków**, które później, przy szerszym rozwoju pisma, dołączane będą stale *do każdego numeru.* To powiększenie liczby łamów **Ogniska Domowego,** ułatwi Redakcyi możność, dokładnego wypełnienia zapowiedzianego w pierwotnym prospekcie programu.

Rychłe spełnienie naszych zamiarów, zależeć będzie od przyjęcia, jakiego one doznają od czytającej publiczności.

Numer 14 **Ogniska Domowego,** który będzie pierwszym w roku 1875, wyjdzie w sam dzień Nowego-Roku, z tego więc powodu dla możności uregulowania ekspedycyi i nienarażenia PP. Prenumeratorów na przerwę lub zwłokę w odbiorze numerów upraszamy *o wczesne nadsyłanie przedpłaty* adresując wprost do Redakcyi: **Ulica Bielańska Nr. 8 w Warszawie.**

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Symonowiczowi w Astrachaniu.—Dotąd ani żadnej reklamacyi, ani marek od Pana nie otrzymaliśmy. Nr. 2, 5, i 6 były wysłane dziś, wysyłamy powtórnie. Co do terminu, w którym prenumerata pańska ustaje, porozumiemy się z poprzednim Wydawcą i Redaktorem. Wiadomość o rezultacie znajdziesz pan w naszych *Odpowiedziach.*

Autorom wierszy: „Marzenia Poety" i „Przebaczenie." Utworzy Panów, drukowanemi nie będą.

Prenumeratorce z ulicy Marszałkowskiej.—Po ukończeniu *Przeznaczeń*, co niedługo już nastąpi, oprócz kilku drobnych prac oryginalnych z działu belletrystyki, zamierzamy drukować jednę z najlepszych powieści włoskich Wiktora Bersezio p. n. *Rozkosz zemsty.* w przekładzie Jana Chęcińskiego. Rady i uwagi, jako widocznie życzliwe, przyjęliśmy z wdzięcznością i postaramy się z nich skorzystać.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**